

ARSÈNE LUPIN

Wydrażona iglica



Maurice Leblanc

Maurice Leblanc

ARSÈNE LUPIN

Wydrażona iglica

Tom 1

Rozdział I

Strzał

Rajmunda nadstawiła ucha. Dwukrotnie usłyszała szmer, na tyle wyraźny, że można go było odróżnić od wszystkich przytłumionych szmerów składających się na wielką nocną ciszę, lecz z drugiej strony tak słaby, że nie byłaby w stanie określić, czy był bliski, czy daleki, czy zrodził się wśród murów przestronnego zamku, czy w mrokach parku.

Wstała ostrożnie. Okno było do połowy odchylone: otworzyła je. Blask księżyca zalewał łagodny krajobraz. Na tle murów i zarośli odcinały się tragicznymi sylwetami rozrzucone ruiny starego opactwa: złamane kolumny, niepełne łuki, szczątki portyków¹ i resztki filarów. Przewiewał lekki wietrzyk, prześlizgujący się poprzez nagie, nieruchome gałęzie drzew i poruszający małe, rodzące się listeczki gąszczów.

I nagle ten sam szmer... Dobiegał z prawej strony, poniżej piętra, na którym mieszkała, a więc w salonach, które znajdowały się w zachodnim skrzydle zamku.

Dziewczyna, chociaż dzielna i silna, poczuła lęk. Ubrała się i wzięła zapalki.

– Rajmundo... Rajmundo...

Głos słaby niby tchnienie wzywał ją z sąsiedniego pokoju, którego drzwi były zamknięte. Zwróciła się tam, idąc po omacku, gdy z pokoju tego wyszła jej kuzynka Zuzanna i padła w jej ramiona.

– Rajmundo... to ty...? Słyszałaś...?

– Tak... To ty nie śpisz...?

– Zdaje mi się, że zbudził mnie pies... już dawno... Lecz teraz nie szczeka. Która też może być godzina?

1 portyk – frontowa część budowli, otwarta, zadaszona, z rzędem kolumn podtrzymujących dach.

- Około czwartej.
- Słuchaj... Ktoś chodzi po salonie, na pewno!
- Nie ma niebezpieczeństwa, Zuzanno, tam jest twój ojciec.
- Ale jemu grozi niebezpieczeństwo. Śpi tuż obok małego salonu.
- Pan Davał też tam jest...
- W drugim końcu zamku... Jak chcesz, żeby usłyszał...?

Wahały się, nie wiedząc, co począć. Krzyczeć? Wołać pomocy? Nie śmiały, do tego stopnia nawet szmer ich własnego głosu wydawał się im wątpliwy. Lecz nagle Zuzanna, która zbliżyła się do okna, zdławiła okrzyk.

- Patrz, jakiś człowiek przy fontannie.

Jakiś człowiek istotnie oddalał się pospiesznie. Niósł w rękach jakiś dość duży przedmiot, którego nie mogły rozpoznać, a który, uderzając o jego nogi, przeszkadzał mu w chodzie. Widziały, jak przeszedł obok starożytnej kaplicy i skierował się w stronę drzwiczek w murze. Musiały być otwarte, gdyż zniknął w jednej chwili i nie słyszały zwykłego skrzypienia zawiasów.

- Wyszedł z salonu – szepnęła Zuzanna.

– Nie, schody i przedsionek poprowadziłyby go bardziej na lewo... Chyba że...

Wtem wstrząsnęła nimi jedna i ta sama myśl. Wychyliły się. Pod nimi stała przystawiona do fasady drabina, opierająca się o pierwsze piętro. Jakieś światło oświetlało kamienny balkon. Inny człowiek, który też coś niósł, przemknął przez balkon, zszedł po drabinie i uciekł tą samą drogą.

Zuzanna, przerażona i bezsilna, padła na kolana, jękając się:

- Wołajmy... wołajmy pomocy...

– Kto przyjdzie? Twój ojciec... A jeśli tam są jeszcze inni ludzie... jeśli się rzucą na niego...?

– A więc... a więc... można by powiadomić służbę... Twój dzwonek łączy się z ich piętrem.

- Tak... tak... może to dobry pomysł... Byle tylko przyszli na czas!

Rajmunda poszukała elektrycznego dzwonka koło swego łóżka i nacisnęła go palcem. Odezwał się dźwięk i obie odniosły wrażenie, że na dole chyba musieli go usłyszeć.

Czekały. Milczenie stawalo się przerażające i nawet wietrzyk nie poruszał już liści drzew.

– Boję się... Boję się... – powtarzała Zuzanna.

Nagle wśród głębokiej nocy rozległ się pod nimi hałas walki, łoskot przewracanych mebli, dźwięk słów, wykrzykników, a potem straszny, posępny, ochryply jęk, charczenie zdławionej ludzkiej istoty...

Rajmunda rzuciła się do drzwi. Zuzanna uchwyciła się rozpaczliwie jej ramienia.

– Nie... nie... Nie opuszczaj mnie... Boję się...

Rajmunda odepchnęła ją i skoczyła na korytarz. Tuż za nią postępowala Zuzanna, zataczając się i wydając okrzyki trwogi. Rajmunda dopadła schodów, zbiegła po stopniach, rzuciła się ku drzwiom wielkiego salonu i stanęła jak wryta u progu, podczas gdy Zuzanna przysiadła u jej boku. Naprzeciw nich, o trzy kroki, stał jakiś mężczyzna, trzymający w ręku latarnię. Jednym ruchem skierował ją na obie dziewczęta, oslepiając je światłem. Przyglądał się długo ich bladym obliczom, a potem zupełnie powoli wziął swoją czapkę, podniósł kawałek papieru i dwa żdźbła słomy, wytarł ślady na dywanie, zbliżył się do balkonu, odwrócił się ku dziewczętom, skłonił się im głęboko i zniknął.

Zuzanna pierwsza pobiegła do małego buduaru, który oddzielał wielki salon od pokoju jej ojca. Lecz u wejścia przeraził ją okropny widok. W ukośnym świetle księżyca widać było na ziemi dwa martwe ciała, leżące obok siebie. Rzuciła się na jedno z nich.

– Ojcie...! Ojcie...! To ty...? Co ci się stało...? – krzyczała, zrozpaczona.

Po chwili hrabia de Gesvres poruszył się. Cichym głosem rzekł:

– Nie bój się, to nic... Nie jestem ranny... A Daval...? Żyje...? A nóż...? nóż...?

W tej chwili weszli dwaj służący ze świecami. Rajmunda rzuciła się na ziemię przed drugim ciałem i poznała Jana Daval, sekretarza i powiernika hrabiego. Był już trupio bledy.

Wówczas wstała, wróciła do salonu, spośród broni wiszącej na ścianie wzięła nabitą strzelbę i wyszła na balkon. Nie minęło z pewnością więcej niż pięćdziesiąt do sześćdziesięciu sekund od chwili, w której

tamten człowiek stanął na pierwszym szczeblu drabiny. Zatem nie mógł być daleko, tym bardziej że z pewnością był na tyle ostrożny, ażeby usunąć drabinę i uczynić ją bezużyteczną. Istotnie, spostrzegła go zaraz, jak szedł wzdłuż szczątków starego klasztoru. Złożyła się, wymierzyła spokojnie i strzeliła. Mężczyzna upadł.

– Udało się! Udało się! – zawołał jeden ze służby. – Tego się złapie. Lecę tam.

– Nie, Wiktorze, on wstaje. Zejdźcie po drabinie i idźcie prosto do małej furtki.

Wiktor pospieszył, lecz zanim jeszcze znalazł się w parku, człowiek upadł ponownie. Rajmunda zawołała drugiego służącego.

– Albercie, czy widzicie go tam na dole? Blisko wielkiej arkady...?

– Tak, czołga się w trawie... O, już po nim...

– Proszę go stąd obserwować.

– Niemożliwe, żeby uciekł. Z prawej strony ruin jest odkryty trawnik.

– A Wiktor strzeże furtki z lewej – rzekła, biorąc ponownie strzelbę.

– Ale panienska tam nie pójdzie?

– Owszem, owszem – odparła stanowczo z energicznymi ruchami. – Proszę mnie nie wstrzymywać, mam jeszcze jeden nabój... Jeśli się ruszy...

Wyszła. Po chwili Albert zobaczył, jak skierowała się w stronę ruin. Zawołał do niej z okna:

– Zawłókl się za arkadę. Nie widzę go już... Ostrożnie, panienko...

Rajmunda obeszła stary klasztor, żeby odciąć mężczyźnie odwrót, i wkrótce Albert stracił ją z oczu. Po kilku minutach, nie widząc jej, zaniepokoił się i bacznie obserwując ruiny, zamiast zejść po schodach, próbował dostać się na drabinę. Kiedy mu się to udało, zszedł szybko i pobiegł wprost ku arkadzie, koło której po raz ostatni widział mężczyznę. O trzydzieści kroków dalej znalazł Rajmundę, która szukała razem z Wiktorem.

– I cóż? – rzekł.

– Nie udało się go złapać – odpowiedział Wiktor.

– A furtka?

– Wracam od niej... To klucz.

– Mimo to trzeba dobrze...

– O, już na pewno nie umknie... Za dziesięć minut złapiemy tego zbója!

Dzierżawca i jego syn, obudzeni wystrzałem, przybyli z folwarku, którego budynki wznosiły się dosyć daleko na prawo, ale w obrębie murów. Nie spotkali nikogo.

– Dalibóg – rzekł Albert – ten łotr nie mógł opuścić ruin... Znajdziemy go na dnie jakiejś jamy.

Zorganizowali systematyczną nagonkę, przetrząsnęli każdy krzak, odchylali ciężkie sploty bluszczu, wijącego się dookoła trzonów kolumn. Upewnili się, że kaplica jest dobrze zamknięta i że żadne z okien nie zostało rozbite. Okrążyli klasztor, przeszukali wszystkie kąty i zakątki. Lecz wszelkie poszukiwania były daremne.

Jedno, jedyne odkrycie: w miejscu, gdzie upadł mężczyzna, znalaziono szoferską czapkę z płowej, miękkiej skóry. Poza tym nic.

O szóstej rano zawiadomiono żandarmerię z Ouveille-la-Rivière, która udała się na miejsce po wysłaniu ekspresem do prokuratury w Dieppe krótkiej notatki, donoszącej o okolicznościach zbrodni, o mającym lada chwila nastąpić schwytaniu głównego winowajcy oraz o „odnalezieniu jego nakrycia głowy i sztyletu, którym dokonał swej zbrodni”.

O godzinie dziesiątej dwa wynajęte pojazdy zjeżdżały z łagodnego stoku prowadzącego do zamku. Pierwszy, szacowna bryczka, mieścił w sobie zastępcę prokuratora, sędziego śledczego i jego pisarza. W drugim, skromnym kabrioletcie², siedzieli dwaj młodzi reporterzy, reprezentujący „Journal de Rouen” i pewien wielki dziennik paryski.

Oczom przyjeżdżających ukazał się stary zamek. Niegdyś siedziaba opatów d’Ambrumésy, zniszczony przez rewolucję, odrestaurowany przez hrabiego des Gesvres, do którego należy od dwudziestu lat, składa się z głównego budynku, nad którym wznosi się wieżyczka zegarowa, i dwóch skrzydeł, z których każde otoczone jest szerokimi

2 kabriolet – lekki powóz jednokonny ze składanym dachem.

zewnątrznymi schodami z kamienną balustradą. Ponad murem parku, za płaskowyżem wspartym na wysokich klifach normandzkich, widać pomiędzy wioskami Sainte-Marguerite i Varengeville błękitny pas morza.

W zamku tym żył hrabia de Gesvres wraz z swą córką Zuzanną, ładną, delikatną istotą z jasnymi włosami, oraz siostrzenicą Rajmundą de Saint-Véran, którą przygarnął do siebie przed dwoma laty, kiedy nagła śmierć jednocześnie jej ojca i matki uczyniła ją sierotą. Życie w zamku było spokojne i regularne. Od czasu do czasu przybywało z wizytą kilku sąsiadów. W lecie hrabia prawie codziennie woził obie dziewczyny do Dieppe. Był to wysoki mężczyzna o przystojnej, poważnej twarzy i szpakowatych włosach. Bardzo bogaty, sam zarządzał swym majątkiem i czuwał nad swymi rozległymi dobrami przy pomocy swego sekretarza Jana Daval.

Na wstępie sędzia śledczy przyjął do wiadomości pierwsze ustalenia sierżanta żandarmerii Quevillona. Schwytanie winowajcy, wciąż zresztą mające nastąpić lada chwila, nie zostało jeszcze dotąd dokonane, lecz obstawiono wszystkie wyjścia z parku. Ucieczka była niemożliwa.

Mała grupka przeszła następnie kapitułarz³ i refektarz⁴ i weszła na pierwsze piętro. Natychmiast zauważono doskonały porządek w salonie. Ani jeden mebel, ani jeden drobiazg nie zdawał się zajmować innego miejsca niż zwyczajne, nie było luki po żadnym z mebli ani drobiazgów. Z prawej i lewej strony wisiały wspaniałe gobeliny flamandzkie z figurami. W głębi, na ścianach, cztery piękne płótna w stylowych ramach przedstawiały sceny z mitologii. Były to sławne obrazy Rubensa⁵, zapisane hrabiemu de Gesvres, podobnie jak gobeliny flamandzkie, przez jego wuja, markiza Bobadillę, granda⁶ hiszpańskiego.

3 kapitułarz – pomieszczenie klasztorne na zebrania kapituły, czyli rady duchownych.

4 refektarz – jadalnia klasztorna.

5 Rubens – Peter Paul Rubens (1577–1640), malarz flamandzki, jeden z najwybitniejszych artystów epoki baroku

6 grand – tytuł arystokratyczny w Hiszpanii.

Pan Filleul zauważył:

– Jeśli motywem zbrodni była kradzież, to w każdym razie ten salon nie był jej przedmiotem.

– Któż to wie? – rzekł zastępcą prokuratora, który mówił mało, lecz zawsze wbrew opinii sędziego.

– Bo widzi pan, drogi panie, włamywacz najpierw starałby się zabrać te gobeliny i te obrazy, których sława jest powszechna.

– Może na to brakło mu czasu.

– Tego właśnie się dowiemy.

W tej chwili wszedł hrabia de Gesvres, a za nim lekarz. Hrabia, który zdawał się zupełnie nie odczuwać niedawnej napaści, powitał uprzejmie obu urzędników. Potem otworzył drzwi do buduaru.

Pokój, do którego nikt prócz lekarza nie wszedł od chwili zbrodni, znajdował się w przeciwieństwie do salonu w największym nieładzie. Dwa krzesła były przewrócone, jeden ze stołów połamany, a wiele innych przedmiotów, jak zegarek podróżny, teczka, pudełko z papierem listowym, leżało na ziemi. Na niektórych rozrzuconych białych kartkach była krew.

Lekarz odsunął prześcieradło, które pokrywało trupa. Jan Daval, odziany w swoje zwykłe ubranie welwetowe i z podkutymi butami na nogach, leżał rozciągnięty na plecach, z jednym ramieniem zagiętym pod siebie. Zdjęto mu kołnierzyk i rozpięto koszulę, odsłaniając wielką ranę w piersi.

– Śmierć musiała być natychmiastowa – oświadczył lekarz. – Wystarczyło jedno pchnięcie nożem.

– To był bez wątpienia nóż – rzekł sędzia śledczy – który spostrzegłem na kominku w salonie obok skórzanej czapki?

– Tak – potwierdził hrabia de Gesvres – nóż znaleziono właśnie tutaj. Pochodzi on ze zbioru broni w salonie, skąd moja siostrzenica, panna de Saint-Véran, chwyciła strzelbę. Zaś co do czapki szoferskiej, należy ona najwidoczniej do mordercy.

Pan Filleul zbadał jeszcze pewne szczegóły pokoju, zwrócił się z kilkoma pytaniami do lekarza, a potem poprosił pana de Gesvres, żeby mu opowiedział, co widział i co wiedział. Oto co powiedział hrabia:

– To Jan Daval mnie zbudził. W ogóle spałem źle, z przebłyskami świadomości, w których zdawało mi się, że słyszę jakieś kroki, gdy wtem, otwierając oczy, spostrzegłem go u stóp swego łóżka, ze świecą w rękę, zupełnie ubranego... jak jest teraz właśnie, gdyż pracował często do bardzo późna w nocy. Zdawał się bardzo wzburzony i rzekł do mnie po cichu: „W salonie są jacyś ludzie”. Istotnie usłyszałem hałas. Wstałem i lekko odchyliłem drzwi do tego buduaru. W tej samej chwili popchnięto drzwi, które wiodą do wielkiego salonu, i zjawił się jakiś mężczyzna, który rzucił się na mnie i ogłuszył mnie uderzeniem pięści w skroń. Opowiadałem panu bez szczegółów, panie sędzio śledczy, z tej prostej przyczyny, że przypominam sobie jedynie zasadnicze fakty i że te fakty następowały po sobie z błyskawiczną szybkością.

– A potem?

– A potem nie wiem nic więcej... Zemdlałem... Kiedy odzyskałem przytomność, Daval leżał obok mnie śmiertelnie ranny.

– Na pierwszy rzut oka nie podejrzewa pan nikogo?

– Nikogo.

– Nie ma pan żadnego wroga?

– Nie wiem o żadnym.

– A czy pan Daval miał wrogów?

– Daval wrogów? Toż to było najlepsze stworzenie pod słońcem. Od dwudziestu lat, jak Daval był moim sekretarzem i, mogę to powiedzieć, powiernikiem, widziałem wokoło niego tylko sympatię i przyjaźń.

– A mimo to miało miejsce włamanie, miał miejsce mord, a do tego trzeba jakiegoś powodu.

– Powód? Ależ była nim po prostu tylko kradzież.

– Kradzież? Więc co panu ukradziono?

– Nic.

– Zatem?

– Zatem, jeżeli niczego nie ukradziono i jeżeli mi niczego nie brakuje, to przynajmniej musiano coś wynieść.

– Cóż takiego?

– Nie wiem. Lecz moja córka i moja siostrzenica powiedzą panu z wszelką pewnością, że widziały, jak dwaj mężczyźni przechodzili jeden po drugim przez park i nieśli dosyć wielkie ciężary.

– Te panienki?

– Czyżby te panienki śniły? Byłbym skłonny w to uwierzyć, gdyż od dziś rana gubię się w dociekaniach i przypuszczeniach. Zresztą najlepiej będzie je zapytać.

Zawezwano obie kuzynki do wielkiego salonu. Zuzanna, jeszcze cała błąda i drżąca, ledwie mogła mówić. Rajmunda, energiczniejsza i bardziej męska, a zarazem piękniejsza z pozłocistym blaskiem swych czarnych oczu, opowiedziała nocne zdarzenia i swój w nich udział.

– Zatem pani zeznania są kategoryczne?

– Stanowczo. Dwaj mężczyźni, którzy przechodzili przez park, nieśli jakieś przedmioty.

– A trzeci?

– Wyszedł stąd z pustymi rękami.

– Czy mogłaby go nam pani opisać?

– Niestety, nie omieszkał oślepić nas blaskiem swej latarni. Powiedziałyby, że jest raczej wysoki i ciężki...

– Czy pani wydał się taki sam? – zapytał sędzia Zuzannę de Gesvres.

– Tak... a raczej nie... – rzekła Zuzanna, zastanawiając się. – Ja widziałam człowieka średniego wzrostu i szczupłego.

Pan Filleul uśmiechnął się, przywykły do sprzeczności w zeznaniach świadków tego samego zdarzenia.

– Zatem mamy teraz do czynienia z jednej strony z osobnikiem z salonu, który jest równocześnie wysoki i niski, gruby i szczupły, a z drugiej z dwoma osobnikami z parku, których oskarża się o skradzenie z tego salonu przedmiotów... które nadał się w nim znajdują.

Pan Filleul należał, jak sam powiadał, do szkoły sędziów ironistów. Był to również sędzia, który nie miał nic przeciwko galerii ani sposobności pokazania publiczności swych umiejętności, o czym świadczyła wzrastająca liczba osób tłoczących się w salonie. Do dziennikarzy przyłączyli się dzierżawca i jego syn, ogrodnik i jego żona,

potem służba zamkowa i wreszcie dwaj woźnice, którzy przyjechali z powozami z Dieppe.

Pan Filleul mówił w dalszym ciągu:

– Chodziłoby także o to, żeby uzgodnić sposób, w jaki zniknął ten trzeci osobnik. Pani strzeliła z tej strzelby i z tego okna?

– Tak, ten człowiek dotarł do nagrobka, prawie zupełnie ukrytego pod jeżynami, z lewej strony klasztoru.

– Ale się podniósł?

– Tylko w połowie. Wiktor natychmiast poszedł, żeby pilnować furtki, a ja poszłam za nim, zostawiając tutaj na straży naszego służącego, Alberta.

Następnie z kolei złożył zeznanie Albert i sędzia wywnioskował:

– Otóż, według was, ranny nie mógł uciec ani w lewo, gdyż wasz towarzysz strzegł furtki, ani w prawo, gdyż bylibyście go spostrzegli na trawniku. Zatem, logicznie rzecz biorąc, znajduje się on teraz na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, którą mamy przed sobą.

– Jestem o tym przekonany.

– Czy pani także?

– Tak.

– Ja również – rzekł Wiktor.

Zastępca prokuratora zawołał ironicznym tonem:

– Pole badań jest dość wąskie. Wystarczy prowadzić dalej poszukiwania zaczęte cztery godziny temu.

– Może my będziemy mieć więcej szczęścia.

Pan Filleul wziął z kominka skórzaną czapkę, ogłędnał ją i wezwawszy sierżanta żandarmerii, powiedział mu na osobności:

– Panie sierżancie, proszę natychmiast posłać człowieka do Dieppe, do kapelusznika Maigret, na rue de la Barre, i niech nam pan Maigret powie, jeśli to możliwe, komu sprzedano tę czapkę.

„Pole badań”, wedle określenia zastępcy prokuratora, ograniczało się do przestrzeni mieszczącej się między zamkiem, trawnikiem z prawej strony, kątem utworzonym przez mur z lewej i murem leżącym naprzeciw zamku, po prostu czworobok o boku mniej więcej stu metrów, na którym wznosiły się tu i ówdzie ruiny Ambrumésy, klasztoru tak sławnego w wiekach średnich.

Zaraz w zmierzwionej trawie znaleziono ślad po uciekającym. Zauważono w dwu miejscach ślady szerniającej, prawie zaschniętej krwi. Za skrzętem łuku, który oznaczał kraniec klasztoru, nie było nic więcej, gdyż charakter gruntu, pokrytego tu igliwem sosnowym, nie nadawał się już do odcisków ciała. Lecz w takim razie jak ranny mógł umknąć wzrokowi młodej dziewczyny, Wiktora i Alberta? Kilka zarośli, które do cna przetrząsnęła służba i żandarmi, kilka płyt nagrobkowych, pod którymi szukano, to było wszystko.

Sędzia śledczy kazał ogrodnikowi, który miał klucz, otworzyć kaplicę, prawdziwy klejnot rzeźby, relikwiarz kamienny, który uszanowały czasy i rewolucje i który uchodził zawsze wraz z cyzelowaniami swego portyku i drobnym ludkiem swych statuetek za jeden z cudów normandzkiego stylu gotyckiego. Kaplica, wewnątrz bardzo prosta, bez innej ozdoby prócz marmurowego ołtarza, nie użyczyła żadnej kryjówki. Zresztą nie można było się do niej dostać. Jakim sposobem?

Badanie skończyło się na furtce w murze służącej jako wejście dla zwiedzających ruiny. Wychodziła ona na zagłębioną drogę ściśniętą między murem a przyciętym szpalerem, gdzie widać było opuszczone kamieniołomy. Pan Filleul schylił się: pył drogi nosił ślady przeciwpoślizgowych opon pneumatycznych. Istotnie, Rajmundzie i Wiktorowi zdawało się po strzale, że słyszą hałas samochodu.

Sędzia śledczy zauważył:

– Ranny musiał dołączyć do swoich współników.

– To niemożliwe! – zawołał Wiktor. – Byłem tam wówczas, gdy panienska i Albert nadal go widzieli.

– Cóż, musi gdzieś być! Zewnątrz czy wewnątrz, nie mamy wyboru.

– On jest tu – twierdził uparcie służący.

Sędzia wzruszył ramionami i odwrócił się od nich ku zamkowi, dosyć markotny. Sprawa zapowiadała się stanowczo niedobrze. Kradzież, w której niczego nie ukradziono, niewidzialny więzień, nie było czego się chwycić.

Było już późno. Pan de Gesvres zaprosił urzędników i obu dziennikarzy na obiad. Jedzono w milczeniu, potem pan Filleul wrócił do salonu, gdzie wypytywał służbę. Wtem od strony dziedzińca rozległ się tętent konia i w chwilę potem wszedł żandarm, którego posłano do Dieppe:

– No i cóż, spotkaliście kapeluszника? – zawołał sędzia z niecierpliwością, czekając pierwszej wiadomości.

– Spotkałem pana Maigret. Tę czapkę sprzedano jakiemuś woźnicy.

– Woźnicy!

– Tak, woźnicy, który zatrzymał się przed magazynem ze swym powozem i zapytał, czy nie mógłby dostać dla jednego ze swych klientów żółtej czapki szoferskiej. Była tylko ta. Zapłacił, nie oglądając wcale towaru, i odjechał. Bardzo się spieszył.

– Jakiego rodzaju powóz?

– Bryczka.

– A którego dnia to było?

– Którego dnia? Ależ dziś rano, o ósmej.

– Dziś rano? Co wy mówicie?

– Czapkę kupiono dziś rano.

– Ależ to niemożliwe, bo przecież znaleziono ją tej nocy w parku. Skoro ją tam znaleziono, to musiała tam być, a więc musiała być kupiona przedtem.

– Dziś rano. Tak mi powiedział kapeluszник.

Nastąpiła chwila oszołomienia. Sędzia śledczy, ogłupiały, usiłował zrozumieć to wszystko. Nagle podskoczył, rażony błyskiem jasnej myśli.

– Przyprowadzić tu woźnicę, który nas przywiózł dziś rano! Tego od bryczki! Przyprowadzić go zaraz!

Sierżant żandarmerii i jego podwładny pobiegli pospiesznie do stajni. Po kilku minutach sierżant wrócił sam.

– Woźnica?

– Kazał sobie dać jeść w kuchni, zjadł śniadanie, a potem...

– A potem?

– Umknął.

– Ze swym wozem?

– Nie. Pod pozorem, że chce odwiedzić jednego ze swych krewnych w Ouville, pożyczył rower od stajennego. Oto jego kapelusz i płaszcz.

– Ale nie pojechał z odkrytą głową?

– Wyjął z kieszeni czapkę i założył na głowę.

– Czapkę?

– Tak, zdaje się z żółtej skóry.

– Z żółtej skóry? Ależ nie, przecież ona jest tutaj.

– Istotnie, panie sędzio śledczy, lecz jego jest podobna.

Zastępca prokuratora zachichotał kpiąco.

– Bardzo śmieszne! Ogromnie zabawne! Są dwie czapki... Jedna, która była prawdziwa i która stanowiła nasz jedyny dowód, odjechała na głowie rzekomego woźnicy! A drugą, która jest fałszywa, pan ma w ręku. Ach, ten zuch dobrze z nas zadrwił.

– Chwytajcie go! Sprowadźcie go! – wołał pan Filleul. – Sierżancie Quevillon, dwu pańskich ludzi na koń i w cwał!

– Teraz jest już daleko – rzekł zastępca prokuratora.

– Niech będzie daleko, jak chce, trzeba ścigać.

– Tak myślę, lecz zarazem sądzę, panie sędzio śledczy, że nasze wysiłki powinny przede wszystkim skupić się tutaj. Proszę przeczytać papier, który właśnie znalazłem w kieszeni płaszcza.

– Jakiego płaszcza?

– Płaszcz woźnicy.

I zastępca prokuratora podał panu Filleulowi złożony we czworo papier, na którym widniało tych kilka słów, napisanych ołówkiem, pismem dosyć pospolitym:

„Biada panience, jeśli zabiła pryncypała”⁷.

Wywołało to pewne poruszenie.

– Mądrej głowie dość pałką... ostrzegają nas – mruknął zastępca prokuratora.

7 pryncypał (dawn.) – zwierzchnik, przełożony, szef.

– Panie hrabio – podjął tok rozmowy sędzia śledczy – błagam, niech się pan nie niepokoï. A pani również. Ta groźba nie ma żadnego znaczenia, gdyż organa sprawiedliwości są na miejscu. Zostaną zarządzone wszelkie środki ostrożności. Odpowiadam za bezpieczeństwo państwa. Zaś co do panów – dodał, zwracając się do obu reporterów – liczę na dyskrecję panów. Jedynie dzięki przesadnej uprzejmości z mej strony byliście panowie świadkami tego śledztwa i źle byście mi się panowie odpłacili...

Tu przerwał, jak gdyby go uderzyła jakaś myśl. Obejrzał obu młodych ludzi po kolei i zbliżając się do jednego z nich, zapytał:

– W jakim dzienniku pan pracuje?

– W „Journal de Rouen”.

– Czy ma pan legitymację?

– Proszę, to ona.

Dokument był w porządku. Nie było co mówić. Pan Filleul zapytał drugiego reportera:

– A pan?

– Ja?

– Tak, pytam pana, do jakiej pan należy redakcji.

– Mój Boże, panie sędzio śledczy, pisuję w wielu dziennikach... po trosze wszędzie...

– Pańska legitymacja?

– Nie mam żadnej.

– Ach! Jakże to...?

– Żeby dziennik wydał legitymację, trzeba pisać w nim stale.

– A więc?

– A więc ja jestem tylko współpracownikiem okolicznościowym. Posyłam na prawo i na lewo artykuły, które mi drukują lub odrzucają, zależnie od okoliczności.

– A w takim razie pańskie nazwisko? Pańskie papiery?

– Moje nazwisko nic panu nie powie. A co do papierów, nie mam ich wcale.

– Nie ma pan żadnego świstka, który by potwierdzał pański zawód?

– Nie mam żadnego zawodu.

– Ależ w końcu, mój panie – zawołał sędzia z pewną brutalnością – nie może pan oczekiwać, że zachowa swoje incognito, skoro się pan tu wśliznął podstępem i podchwycił tajemnice sprawiedliwości!

– Pan będzie łaskaw zauważyć, panie sędzio śledczy, że o nic mnie pan nie pytał, kiedy przybyłem, i że wobec tego nie miałem co mówić. Zresztą pańskie śledztwo nie wydaje mi się wcale tajne, skoro wszyscy byli przy nim... nawet jeden z winnych.

Mówił łagodnie, tonem nieskończonej grzeczności. Był to zupełnie młody człowiek, bardzo wysoki i bardzo szczupły, odziany bez najmniejszej kokieterii w zbyt krótkie spodnie i za ciasny surdut. Miał cerę różową jak dziewczyna, szerokie czoło, przesłonięte wiechą włosów, i jasną brodę, nierówną i źle przyciętą. W jego żywych oczach jaśniała inteligencja. Nie zdawał się wcale zakłopotany i uśmiechał się sympatycznym uśmiechem, w którym nie było żadnego śladu drwiny.

Pan Filleul oglądał go z wzrastającą nieufnością. Dwaj żandarmi postąpili naprzód. Młodzieniec zawołał wesoło:

– Panie sędzio śledczy, najwidoczniej podejrzewa mnie pan, że należę do winowajców. Lecz gdyby tak było, czyż nie wymknąłbym się w stosownej chwili za przykładem swego rzekomego towarzysza?

– Mógłby pan spodziewać się...

– Wszelka nadzieja byłaby tu głupia. Proszę się zastanowić, panie sędzio śledczy, a zgodzi się pan ze mną, że logicznie rzecz biorąc...

Pan Filleul spojrzał mu prosto w oczy i rzekł oschle:

– Dosyć tej zabawy! Pańskie nazwisko?

– Izydor Beautrelet.

– Pański zawód?

– Uczeń klasy maturalnej liceum Janson de Sailly.

Pan Filleul wytrzeszczył zdumione oczy.

– Co mi pan tu plecie? Uczeń klasy maturalnej...

– W liceum Janson, rue de la Pompe, numer...

– Ejże! – zawołał pan Filleul. – Pan sobie kpi ze mnie! Niech pan skończy tę zabawę!

– Wyznaję panu, panie sędzio śledczy, że pańskie zdumienie mnie dziwi. Cóż stoi na przeszkodzie, żebym był uczniem klasy maturalnej

w liceum Janson? Może moja broda? Zapewniam, że moja broda jest fałszywa.

Izydor Beautrelet oderwał kilka kosmyków swej brody i jego twarz okazała się jeszcze młodsza i bardziej różowa, prawdziwa twarz licealisty.

Dziecięcy uśmiech odsłonił jego białe zęby, kiedy mówił:

– Cóż, teraz jest pan przekonany? Czy trzeba panu jeszcze dowodów? Proszę, niech pan przeczyta adres na tych listach mojego ojca: „Pan Izydor Beautrelet, wychowanek liceum Janson de Sailly”.

Przekonany czy nie, pan Filleul miał minę, jakby mu ta historia nie przypadła do smaku. Zapytał szorstkim tonem:

– Co pan tu robi?

– No... uczę się.

– Na to są licea... pańskie...

– Zapomina pan, panie sędzio śledczy, że dziś dwudziesty trzeci kwietnia i że jesteśmy w środku ferii wielkanocnych.

– Więc?

– Więc mam wszelkie prawo wykorzystywać ferie, jak mi się podoba.

– A pański ojciec...?

– Ojciec mój mieszka daleko, w głębi Sabaudii, i to on mi doradził małą wycieczkę po wybrzeżach La Manche.

– Z fałszywą brodą?

– O, to nie. To mój pomysł. W liceum wiele rozmawiamy o tajemniczych przygodach, czytujemy powieści policyjne, w których się ludzie przebierają. Wyobrażamy sobie mnóstwo strasznych i zawiłych spraw. Otóż chciałem się zabawić i przylepiłem sobie tę fałszywą brodę. Poza tym miałem to szczęście, że brano mnie na serio i udawałem paryskiego reportera. W taki sposób wczoraj wieczorem, po nieznaczącym ponad tygodniu, miałem przyjemność poznać swego współtowarzysza z Rouen, który dziś rano, dowiedziawszy się o zdarzeniu w Ambrumésy, zaproponował mi bardzo uprzejmie, żebym mu towarzyszył i na spółkę wynajął z nim powóz.

Izydor Beautrelet mówił to wszystko ze swobodną, trochę naiwną prostotą, której wdzięku nie sposób było nie odczuwać. Sam pan

Filleul, choć zachowywał nieufną rezerwę, słuchał go z przyjemnością. Zapytał go mniej opryskliwie:

– I jest pan zadowolony ze swej wycieczki?

– Zachwycony! Tym bardziej, że nigdy nie byłem obecny przy sprawie tego rodzaju, a ta jest bardzo zajmująca.

– I nie brak jej tych tajemniczych komplikacji, które pan tak ceni.

– A które są takie fascynujące, panie sędzio śledczy! Nie znam silniejszego wzruszenia, niż widzieć wszystkie fakty wyłaniające się z mroku, żeby tak rzec, grupujące się jedne przeciw drugim i formujące powoli przypuszczalną prawdę.

– Do tej przypuszczalnej prawdy szybko pan zmierza, młody człowieku! A może ma pan już gotowe swoje małe rozwiązanie zagadki?

– O, nie – odparł, śmiejąc się Beautrelet. – Tylko... zdaje mi się, że są takie punkty, z których wytworzyć sobie jakieś zdanie nie jest rzeczą niemożliwą, a nawet inne do tego stopnia dokładne, że wystarczają... do wniosków.

– Ależ to staje się bardzo ciekawe, nareszcie się czegoś dowiem. Bo wyznam panu, ku swemu wielkiemu wstydy, że nic a nic nie wiem.

– To dlatego, panie sędzio śledczy, że pan nie miał czasu się zastanowić. Rozważać to rzecz główna. Rzadko się zdarza, żeby wypadki nie mieściły same w sobie swego wyjaśnienia!

– I według pana, wypadki, które stwierdziliśmy, noszą same w sobie swoje wyjaśnienie?

– A czy to nie jest pańskie mniemanie? W każdym razie nie stwierdziłem innych niż te, które zanotowano w protokole.

– Cudownie! Więc gdybym pana zapytał, jakie przedmioty skradziono z tego salonu?

– Odpowiedziałbym panu, że wiem jakie.

– Brawo! To szanowny pan wie o wiele więcej niż sam właściciel! Pan de Gesvres ma swój rachunek, pan Izydor Beautrelet go nie ma. Brakuje trzyczęściowej biblioteczki i jednego posągu naturalnej wielkości, którego nikt nigdy nie zauważył. A jeśli bym pana zapytał o nazwisko mordercy?

– Odpowiedziałbym panu również, że je znam.

Wszyscy obecni podskoczyli. Zastępca prokuratora i dziennikarz zbliżyli się. Pan de Gesvres i dwie młode dziewczyny słuchały uważnie, wszyscy pod wrażeniem pewności i spokoju Beautreleta.

– Pan zna imię mordercy?

– Tak.

– I może także miejsce, w którym on się znajduje?

– Tak.

Pan Filleul zatarł ręce:

– Cóż za szczęście! To złapanie zbrodniarza będzie chlubą mojej kariery. I pan może mi w tej chwili podać te rewelacyjne odkrycia?

– W tej chwili, tak... Albo raczej, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, za godzinę lub za dwie, kiedy zostaną do końca przy śledztwie, które pan prowadzi.

– Ależ nie, ależ nie, natychmiast, młody człowieku...

W tej chwili Rajmunda de Saint-Véran, która od początku tej sceny nie spuszczała oczu z Izydora Beautreleta, podeszła do pana Filleula.

– Panie sędzio śledczy...

– Czego pani sobie życzy?

Przez dwie lub trzy minuty wahała się z oczyma utkwionymi w Beautreleta, a potem zwróciła się do pana Filleula:

– Proszę zapytać tego pana o powód jego wczorajszej przechadzki po zagłębionej drodze, która dochodzi do furtki.

Była to zdumiewająca niespodzianka. Izidor Beautrelet zdawał się zmieszany.

– Ja, pani? Ja? Pani mnie wczoraj widziała?

Rajmunda zamyśliła się, z nie spuszczać wzroku z Beautreleta, jak gdyby usiłowała utwierdzić się w swoim przekonaniu, i powiedziała spokojnym tonem:

– Wczoraj o czwartej po południu na zagłębionej drodze spotkałam młodego człowieka wzrostu tego pana, ubranego jak on i z taką samą brodą... i miałam bardzo wyraźne wrażenie, że starał się ukryć.

– I to byłam ja?

– Nie mogę tego stwierdzić stanowczo, gdyż moje wspomnienie jest trochę niejasne. Jednak... jednak zdaje mi się... inaczej to podobieństwo byłoby zbyt dziwne...

Pan Filleul zakłopotał się. Już wywiedziony w pole przez jednego z winowajców, czyż miałby także dać zakpić z siebie temu niby licealiście? Trzeba przyznać, że zachowanie się młodzieńca przemawiało na jego korzyść, ale nigdy nie wiadomo...

– Cóż pan na to powie?

– Że ta panienka się myli i że tego łatwo dowiodę jednym słowem. Wczoraj o tej godzinie byłem w Veules.

– Trzeba będzie to sprawdzić. W każdym razie okoliczności się zmieniły. Panie sierżancie, jeden z pańskich ludzi będzie towarzyszył temu panu.

Oblicze Izydora Beautrelet wyrażało żywy sprzeciw.

– Na jak długo?

– Dopóki się nie zbierze potrzebnych informacji.

– Panie sędzio śledczy, błagam pana, żeby je pan zebrał jak najszybciej i z możliwą dyskrecją...

– Czemu?

– Mój ojciec jest stary. Kochamy się bardzo... i nie chciałbym, żeby się o mnie martwił.

Placziwy nieco ton prośby nie podobał się panu Filleulowi. Traciło to trochę sceną z melodramatu. Niemniej przyrzekł:

– Dziś wieczorem... najdalej jutro rano będę wiedział, czego się trzymać.

Minęło popołudnie. Sędzia śledczy wrócił do ruin starego klasztoru i zakazał wchodzić tam wszystkim ciekawskim. Cierpliwie, metodycznie, dzieląc teren na kolejno badane części, sam kierował poszukiwaniami. Lecz z końcem dnia nie odnotował żadnych postępów i oświadczył przed armią reporterów, która tymczasem najechała zamek:

– Panowie, wszystko każe nam przypuszczać, że zraniony jest tutaj, prawie w naszych rękach; wszystko prócz rzeczywistości faktów. Dlatego, według naszego skromnego zdania, musiał on się wymknąć i znajdziemy go na zewnątrz.

Jednak dla ostrożności w porozumieniu z sierżantem żandarmarii zorganizował straż w parku i po ponownym zbadaniu obu salonów i przetrząśnięciu całego zamku, zgromadziwszy wszelkie konieczne wyjaśnienia, wrócił do Dieppe wraz zastępcą prokuratora.

Przyszła noc. Ponieważ buduar miał zostać zamknięty, przeniesiono ciało Jana Daval do drugiego pokoju. Strzegły go dwie wiejskie kobiety w towarzystwie Zuzanny i Rajmundy. Na dole pod baczynym okiem posterunkowego młody Izydor drzemał na ławie dawnego oratorium⁸. Na zewnątrz żandarmi, dzierżawca i tuzin wieśniaków rozmieścili się między ruinami a murami.

Aż do godziny jedenastej było całkiem spokojnie, lecz o jedenastej dziesięć z drugiej strony zamku rozległ się strzał.

– Uwaga! – zawołał sierżant. – Dwaj zostają tutaj... wy, Fossier... i wy, Lecan... Reszta za mną, biegiem!

Rzucili się wszyscy i okrążyli zamek z lewej strony. W cieniu przemknęła jakaś sylwetka. Zaraz potem drugi strzał pociągnął ich dalej, prawie na skraj folwarku. Kiedy przybyli gromadą do płotu okalającego sad, nagle na prawo od domu dzierżawcy zabłysnął płomień, a inne płomienie dołączyły do niego, łącząc się w grubą kolumnę. To paliła się stodoła, wypchana słomą po szczyt.

– Łotry! – krzyczał sierżant Quevillon. – To oni podłożyli ogień. Pędźmy za nimi, chłopcy. Nie mogą być daleko.

Lecz ponieważ wiatr obracał płomień na główny budynek, należało przede wszystkim zapobiec niebezpieczeństwu. Zabrali się do tego wszyscy z tym większą gorliwością, że pan de Gesvres przybiegł na miejsce nieszczęścia i zagrzewał ich obietnicą nagrody. Kiedy opanowano pożar, była druga rano. Wszelki pościg byłby daremny.

– Zobaczmy za dnia – rzekł sierżant. – Z pewnością zostawili ślady... znajdziemy je...

– Chętnie poznałbym – dodał pan de Gesvres – powód tego napadu. Podkładać ogień pod stodołę ze słomą wydaje mi się czymś bezcelowym.

– Proszę pójść ze mną, panie hrabio, a może podam panu powód. Przybyli razem do ruin klasztoru.

Sierżant zawołał:

8 oratorium – tu w znaczeniu: sala przeznaczona do modlitwy, kaplica.

– Lecan...? Fossier...?

Pozostali żandarmi szukali już swych towarzyszy, zostawionych na straży. Odnaleziono ich w końcu w pobliżu furtki. Leżeli na ziemi, związani, zakneblowani, z opaskami na oczach.

– Panie hrabio – mrucał sierżant, gdy ich rozwiązywano – panie hrabio, oszukano nas jak dzieci.

– Jak to?

– Strzały... napad... ogień to wszystko były błagi, żeby nas tam zwabić. Tymczasem obezwładniono naszych dwóch ludzi i sprawa gotowa.

– Jaka sprawa?

– Zabranie rannego, dalibóg!

– Jak to, więc pan sądzi?...

– Czy sądzę? Toż to niezachwianie pewne. Przyszło mi to do głowy dziesięć minut temu... Ale jestem głupcem, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Złapalibyśmy ich wszystkich.

Quevillon tupął w nagłym przystępie wściekłości.

– Lecz którędy, na miły Bóg, którędy oni przeszli? Którędy go zabrali? A on, gałgan, gdzie on się ukrywał? Bo przecież jak, tłukliśmy się po tym terenie przez cały dzień, a człowiek nie ukryje się w kępce trawy, zwłaszcza gdy jest ranny. To czyste czary, ta cała historia...!

Nie była to ostatnia niespodzianka oczekująca sierżanta Quevillona. O świcie, kiedy weszli do oratorium, które służyło jako cela dla młodego Izydora Beautrelet, stwierdzono, że młody Izydor Beautrelet zniknął.

Na krześle, zgięty wpół, spał posterunkowy.

Obok niego stała karafka i dwie szklanki. Na dnie jednej z nich widać było trochę białego proszku.

Po zbadaniu sprawy stwierdzono najpierw, że młody Izydor Beautrelet podał posterunkowemu środek nasenny, następnie, że nie mógł uciec inaczej, jak tylko przez okno, znajdujące się na wysokości dwóch i pół metra, i wreszcie, czarujący szczegół, że nie mógł się dostać do tego okna inaczej, niż po grzbiecie swego dozorczy.